

MAZOWSZE SERCE POLSKI NR 8

29/08/2022 13:02, aktualizacja: 14/09/2022 09:08 | Zamieścił: Agnieszka

Bogucka

"Maluchem" na wczasy



Autor: Witold

Jarosław Szulecki/East News

Jest kilka rzeczy, które kojarzą się z letnim wypoczynkiem sprzed lat: melodia Polki Dziadek rozpoczynającej „Lato z radiem”, dźwięk odbijanej piłeczki ping-pongowej czy brzęk aluminiowych rurek namiotu. To też smak konserwy turystycznej i szum grzałki podgrzewającej wodę.

Urlop wypoczynkowy dla pracowników umysłowych wprowadzono w międzywojniu. Po roku pracy przysługiwał miesiąc wolnego.

Miesiąc na letniku

„Spędzenie miesięcznego urlopu w dusznej Warszawie praktycznie nie było w tamtych czasach możliwe – zarówno obyczajowo, jak i fizycznie przebywanie w mieście podczas urlopu było męczące i wręcz niestosowne. Z urzędniczej pensji bardzo trudno było opłacić rodzinny wyjazd za granicę, skomplikowany dojazd i wysokie ceny często stawały na przeszkodzie podróżom nad morze czy do Zakopanego. Najczęściej zamożniejsi robotnicy i niższa klasa średnia, tzw. inteligencja pracująca, wybierali więc podwarszawskie letniska, które wyrastały jak grzyby po deszczu na rozparcelowanych gruntach ziemskich”

Zofia Rojek, Anna Zdanowska, „Letniska”, wyd. Muzeum Warszawy, 2022.1 .

Sezon letniskowy trwał od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Wczasowicze wynajmowali domek na kilka tygodni, czasem nawet na całe lato. W wielu przypadkach odpoczywała w nim jedynie matka z dziećmi, a zapracowany mąż przyjeżdżał tylko na weekend. Najbardziej popularnymi były Falenica, Józefów i Otwock, które tak naprawdę powstały jako miejscowości letniskowe. Letniskami były także Wawer, Wesoła i Anin oraz Milanówek, Celestynów i Radość.

Obywatel ma prawo do wypoczynku

Już w 1945 r. powołano Fundusz Wczasów Pracowniczych – organizację, która wysyłała ludzi pracy na wczasy. Wspólnie wyjeżdżał na nie zakład pracy, nierzadko kilka przypadkowych osób nocowało w jednym pokoju lub domku letniskowym. Pomimo wszystkich niedogodności pracownicze wczasy często okazywały się wybawieniem dla wyczerpanych pracą ludzi.

– Robotnicy nie byli reprezentowani w takim stopniu, jak by sobie życzyła władza ludowa, ale bez wątplenia wprowadzono w krąg takiej aktywności ludzi, którzy wcześniej nigdzie nie wyjeżdżali, a już na pewno na wczasy – mówił prof. Paweł Sowiński w audycji Agaty Kwiecińskiej i Michała Nowaka z cyklu „Za kurtyną PRL-u”

„Wczasy w PRL – zorganizowany wyjazd o smaku paprykarza”, polskieradio.pl/2 .

Legendarna postać tzw. kaowca (instruktora kulturalno-oświatowego) w latach 50. była obowiązkową figurą na każdym wczasach.

– Kaowiec doradzał ludziom, którzy nigdy nie odpoczywali, w oswojeniu się z tą ideą. To byli często ludzie, którzy mieli obawy, nie wiedzieli jak chwycić nóż i widelec, jak się zachować w stołówce, jak się ubrać. Kaowiec organizował im czas – dodaje [tamże3](#) prof. Sowiński. W 1977 r. z wczasów pracowniczych skorzystało 4,7 mln pracowników i ich rodzin.

Tetris, czyli jak spakować się do „malucha”

Znaczna część Polaków wybierała się jednak na wczasy na własną rękę. Czasem była to wynajęta kwatera u znajomego mieszkającego na wsi albo po prostu pole namiotowe. I tak jak w przypadku wypoczynku zorganizowanego była to opcja – jak byśmy dziś powiedzieli all inclusive – to indywidualne wyjazdy były tego całkowitym zaprzeczeniem. Należało zabrać... wszystko. Dosłownie, wszystko. Oczywiście sprzęty były w wersji turystycznej, ale jeśli pakujemy na wyjazd pościel dla kilku osób, meble i butlę gazową, to jednak świadczy o skali przedsięwzięcia. Tobół wychodził z tego potężny, a miejsce w i na samochodzie było ograniczone. Pakowanie to była „wyższa szkoła jazdy”, bo chodziło nie tylko o to, aby zabrać wszystkie niezbędne rzeczy, ale też o przemyślane rozmieszczenie bagażu. Obciążenie musiało być w miarę równomiernie, bagażnik na dachu obłożony nie za wysoko, wszystko z uwzględnieniem praw fizyki.

„Należało wykorzystać w samochodzie każdą wolną przestrzeń, każdy zakamarek. Na bagażnik dachowy wędrowały stół i krzesła campingowe, namiot, torba z pościelą, przekładane materacami, śpiworami i ręcznikami, w foliowym nieprzemakalnym opakowaniu. Wszystko możliwie płasko przytroczone, bo maluch za mały, żeby go wypiętrzać. Do zaledwie stulitrowego bagażnika samochodowego pakowałam żywność: puszki szynki i gulaszu, w termosie masło, w słoikach zatopione w smalcu pieczony schab i cielęcinę, suchą wędlinę, w kubki jaja natarte smalcem i każde owinięte w papier, paczkowany ser biały i żółty, herbatę w torebkach i rozpuszczalną kawę inkę, słodczyce (piernik plus coś, co się nazywało mazurki bakaliowe), zapas cukru i soli, pieczywo na drogę. Do wnętrza auta szła reszta, w miękkich torbach upychana przeróżnie: letnie i plażowe ciuchy, ale i dresy na chłodniejsze dni i noce, koce, zastawa stołowa i sztucce, aparat fotograficzny, a później i kamera, leki na zaziębienie i kłopoty z brzuchem itd.”

Kazimierz Kunicki, Tomasz Ławecki, „Maluchem do raj. Czym i jak podróżowano w PRL-u?”, Wydawnictwo Bellona, Ożarów Mazowiecki 20204

Kolonie – doświadczenie pokoleniowe

„Złota era” wyjazdów kolonijnych przypadła na lata 70. XX w. W 1975 r. z programu skorzystało 7,6 mln dzieci. Najczęściej organizatorem były zakłady pracy rodziców, a dzieciaki kwaterowane były m.in. w szkołach, które w wakacje stały przecież puste. Z perspektywy dzisiejszej młodzieży warunki zakwaterowania na koloniach mogą wydawać się koszmarnie: szkolne klasy zaadaptowane na wieloosobowe sypialnie, jedna łazienka, telewizor w świetlicy. Ciuchy trzymane w walizce, pranie suszone na ramie łóżka, wędrowki z mydelniczką i ręcznikiem na drugi koniec korytarza do jedynej damskiej łazienki na piętrze, kontrole czystości.

– Nie przepadałam za wyjazdami z tłumem obcych dzieci, w nieznanym miejscu – mówi pani Katarzyna Gajewska z Warszawy, rocznik 1974. – Zanim towarzystwo okrzepło i się zgrało, musiało minąć parę dni. Wtedy kolonie trwały 3 tygodnie, więc mieliśmy czas się poznać. Raz było lepiej, raz gorzej, jak to w relacjach z ludźmi. Ale oczywiście, pod koniec turnusu ryczałam, że to koniec i że już mi nigdy i nigdzie nie będzie tak fajnie – dodaje ze śmiechem.

Jednak była łyżka dziegciu w realizacji tego programu – nie objął on wsi. Szacuje się, że aż 95 proc. dzieci z obszarów wiejskich nigdzie nie wyjeżdżało na wakacje. W indywidualnych, czy raczej rodzinnych, gospodarstwach rolnych ich pomoc była niezbędna przy żniwach i innych pracach polowych.

- 1920 r. powstaje Polskie Biuro Podróży „Orbis”
- 1927 r. na kolonie wyjeżdża 400 tys. polskich dzieci
- 1939 r. powstaje PLL „LOT”
- 1945 r. powstaje Fundusz Wczasów Pracowniczych
- 1965 r. ponad 1 mln dzieci spędza lato na koloniach
- 1975 r. szczytowa popularność programu kolonii: 7,6 mln dzieci tak spędziło
- 2019 r. po dwóch dekadach gospodarki rynkowej i dostępności wszelakich form wypoczynku liczba „kolonistów” to nieco ponad 773 tys.

Wyjazd nad morze był marzeniem wielu Polaków



Narodowe Archiwum Cyfrowe

Fot. NAC

W 1967 r. Fundusz Wczasów Pracowniczych dysponował ok. 52,8 tys. miejsc wczasowych w 116 miejscowościach w Polsce.



Narodowe Archiwum Cyfrowe

Fot. NAC

W wielu rodzinnych albumach są podobne fotografie z wakacji



Narodowe Archiwum Cyfrowe

Fot. NAC

Jedną z opcji urlopowych był wypoczynek na łonie natury, pod namiotem



Fot. NAC

Na sypialnie dla kolonistów adaptowano szkolne klasy



Fot. NAC

UWAGA

Informacje opublikowane przed 1 stycznia 2021 r. dostępne są na stronie archiwum.mazovia.pl